



W tym numerze

Chronologia dziejów	1
Muszkietierowie z Książa	1
Odsłonięcie pomnika cz.2	2
Kiedy śpiewały słowiki cz.1	4

Nr 5 (282) Maj 2021

Chronologia dziejów

Świebodziczanie, Kacper Stępnik, zdobył złoty medal na Mistrzostwach Polski w duathlonie które odbywały się w Rumii.

13 maja, w Hali Widowiskowo-Sportowej OSiR Świebodzice Spółka z o.o., odbyło się spotkanie Burmistrza Miasta Pawła Ozgi, Zastępcy Burmistrza Tobiasza Wysoczańskiego, Prezesa OSiR Świebodzice Spółka z o.o Jarosława Pizuńskiego z drużyną piłkarek ręcznych MKS Victoria Świebodzice, której przewodniczyła Prezes Klubu Agata Kalafut oraz Trener drużyny Dominika Daszkiewicz-Kwadrans.

Włodarze Miasta oraz Prezes OSIR Świebodzice Spółka z o.o. uhonorowali drużynę piłkarek ręcznych okolicznościowymi dyplomami oraz upominkami, za zdobyte Mistrzostwo Dolnego Śląska.

Świebodziczanie Szymon Król w dniu 9 maja zdobył Mistrzostwo Polski w Kulturystyce klasycznej do 180 cm. Tytuł ten wywalczył w Kielcach, rywalizując z wieloma zawodnikami. Był bezkonkurencyjny, otrzymał najwyższe noty od sędziów.

Główny cel projektu Elektryczne Śmieci to umożliwienie mieszkańcom pozbycia się zalegających zużytych sprzętów, które mogą stanowić zagrożenie dla środowiska naturalnego i zdrowia ludzi.

Do czerwonych pojemników, które ustawiono przy ulicach: Św. Ojca Pio; Sikorskiego 10; Mieszka Starego obok numeru 23; Spokojnej między numerami 1A i 3F można wrzucać zużyty sprzęt elektryczny i elektroniczny o niewielkich gabarytach - np. drukarki, laptopy, tostery, telefony, tablety czy karty pamięci, a także baterie i akumulatory przenośne.

Wiadomości z Zamku Książ

Mateusz Myktytyszyn
Zamek Książ

Muszkietierowie z Książa

Otoczające Zamek Książ majestatyczne mury obronne, w niektórych swoich fragmentach, pamiętają jeszcze średniowiecze. Na początku XX wieku książę Jan Henryk XV von Hochberg podczas wielkiej rozbudowy zamku zadbał o to, aby znalazły się na nich wartownie dla książęcych muszkietierów. Straż zamkowa strzegła Książa przez 320 lat do końca funkcjonowania tutejszego dworu w 1929 roku.

Otoczające Zamek Książ kamienne mury co kilka metrów posiadają strażnicze baszty i wieżyczki. W niektórych fragmentach oddzielają je chronione drewnianymi balustradami zadaszone ganki. Choć dziś nie są praktycznie używane, pierwotnie ich przeznaczenie było bardzo istotne. To właśnie wzdłuż i po zamkowych murach przemierzali się podczas nocnej warty muszkietierowie.



Zwierzchnikiem muszkietierów czyli zamkowej straży był zamkowy kasztelan. Straż dyżurowała przez całą dobę na parterze Budynku Bramnego, przez który prowadzi główne wejście do zamku. Prywatny pluton muszkietierów utrzymywali Hochbergowie w Książu do końca swoich magnackich dziejów. Starszy regulamin tych war-

Georg Zawischa
portier zamkowy, 1915 r.



Muskieter - w drzwiach

towników pochodził z 1709 roku. Umundurowana gwardia była uzbrojona. W czasach, kiedy właściciele Książa dzierżyli jeszcze na swoim terenie władzę sądowniczą, strażnik ten dozorował aresztantów, pilnował robotników w warsztatach rzemieślniczych, strzegł mienia zamkowego i bezpieczeństwa mieszkańców. Muskieterzy pełnili straż na blankach, mieli swoje stanowiska także w dwóch wartowniach na zamku dolnym, gdzie mieściły się także zamkowy telegraf i poczta z mieszkaniem dla poczmistrza Heinricha Newestata i jego rodziny.



Muskieterowie i pracownicy zamkowi

Do obowiązku muskieterów należało otwieranie i zamykanie wszystkich bram zamkowych. Sygnałem do działania w tym zakresie był rozlegający się o 6 rano i 10 wieczorem dzwonek z zamkowej wieży. Muskieter musiał kilkakrotnie w ciągu dnia obchodzić wszystkie budynki na wyznaczonym mu terenie. Ci, którzy pełnili wartę w bramach, odpowiadali za sprawdzenie przechodniów i przepędzanie maruderów. Dodatkowo regulowali zegar na wieży, zapalali i gasili latarnie oraz mieli alarmować o pożarach i aktach wandalizmu. W XVII wieku, w okresie wojny 30-letniej, 35 muskieterów stale chroniło zamek, dobierając sobie do pomocy chłopów folwarcznych. Ostatnim muskieterem na Książu, który po II wojnie światowej nie wyjechał do Niemiec i - wraz z byłym trenerem koni wierzchowych - Edwardem Wawrzyczkiem - pracował w Książu jako stróż, był Johannes Szczotka. Pochodził z Pszczyny, a do Książa, gdzie początkowo odpowiadał za konie powozowe, przyjechał w 1912 roku, gdy zlikwidowano tamtejsze stajnie.

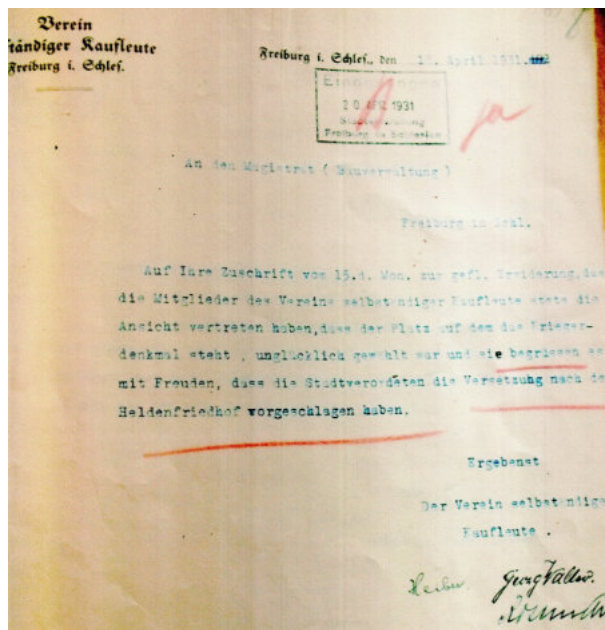
Maria Palichleb

Uroczystość odsłonięcia pomnika w Parku Miejskim cz.2

Można byłoby dodać, że także w zimowej szacie pomnik mógł się interesująco prezentować.

W nowym miejscu brakowałoby właściwej perspektywy, pozwalającej kontemplowanie tej wspaniałej rzeźby. Autor archiwalnej notatki prasowej kończy swą wypowiedź pytaniem retorycznym: „Czy ofiary wojny zasłużyły na to?”

Zwolennikiem idei przeniesienia pomnika na cmentarz była tylko jedna organizacja – Stowarzyszenie Żołnierzy Frontowych Stahlhelm. Ustalono nawet dokładną lokalizację – w Kwaterze Bohaterów (dziś trudno ustalić, w której części cmentarza mogła się znajdować, ale z pewnością była to eksponowane miejsce). Swój protest wyraziło Stowarzyszenie Wolnych Kupców, które uznało, że nowe miejsce nie zostało trafnie wybrane. Sprawa była dyskutowana na wielu posiedzeniach Rady Miejskiej, jeszcze w 1931 roku.



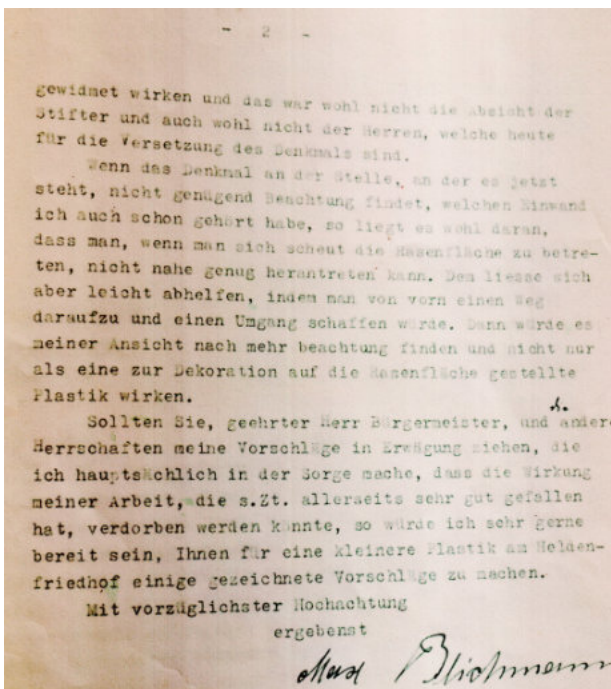
Mimo kontrowersyjnych stanowisk, 26 maja 1931 roku zapadła decyzja o przeniesieniu pomnika. Wyasygnowano na ten cel kwotę 300 marek, a pełnomocnik Firmy Przewozowej Kirchner - Schmidt, zobowiązał się do nieodpłatnego przewozu. Miasto miało więc ponieść tylko koszty demontażu i ponownego złożenia części pomnika w nowym miejscu.

W kwestii, która podzieliła mieszkańców, decydujący głos miała opinia projektanta i wykonawcy – M a x a B l i c h m a n n a, rzeźbiarza z Berlina, mieszkającego w dzielnicy Schmargendorf, w południowo – zachodniej części miasta, przy ulicy Sulzauerstrasse 13.

Artysta ten urodził się w naszym mieście w 1870 roku, 15 czerwca. W latach 1894 – 1900 uczył się w Szkole Przemysłu Artystycznego L. Manzela i C. Heinemanna. Jego domeną było projektowanie medalii.

Można przypuszczać, że jego rodowód miał decydujący wpływ na wybór właśnie tego wykonawcy. Potwierdzeniem tego faktu i związków z miastem są wpisy w archiwalnym rejestrze cmentarnym, z którego wynika, że jego rodzina spoczęła w grobowcu, na tle ściany graniczącej z cmentarzem żydowskim. Między innymi – matka Julia Blichmann z domu Gley, zmarła 22 lutego w wieku 85 lat, ciotka Mathilda Gley (zm. 9 lipca 1919 mając 80 lat, babka – Emilie Blichmann (26.4. 1836 – 22.2. 1922), Klara Blichmann, która była prawdopodobnie kuzynką artysty (1871 – 1937). Zastanawiające jest, że nie ma wśród tych osób ojca Maxa Blichmanna. Może został pochowany w innym miejscu? Potwierdzeniem, że osoby te były spokrewnione z rzeźbiarzem, jest podanie jego danych osobowych, włącznie z berlińskim adresem.

W liście, wystosowanym do władz miasta, powołuje się on na prawa autorskie, które pozwalają mu na wyrażenie swojej opinii, związanej ze zmianą lokalizacji pomnika: „Po pierwsze muszę odradzić [przeniesienie pomnika] z czysto praktycznego punktu widzenia: koszty demontażu, przewozu i ponownego ustawienia. Odradzam również, z artystycznego punktu widzenia. Teraz istnieje możliwość oglądania pomnika ze wszystkich stron – na nowym – tylko z trzech, a przede wszystkim z przodu. Pamiętam, że rzut poziomy cokołu jest prostokątem i na niewielkim placu nie będzie się dobrze prezentował. Teraz, w Parku Miejskim, stanowi jego dekorację i upamiętnia



wszystkich poległych mieszkańców miasta [...] Proszę, aby Szanowny Pan Burmistrz i inni sprawujący władzę, wzięli pod uwagę moją opinię, bo uważam, że w trosce o efekt mojej pracy, powinienem przedstawić swoje stanowisko. Jestem skłonny naszkicować projekt jakiejś małej rzeźby, która mogłaby stanąć na cmentarzu i upamiętniać poległych. Z wyrazami szacunku Max Blichmann.

Przytoczone tu fragmenty listu noszą datę: 24 maj 1932. Warto w tym miejscu powtórzyć postawione cztery lata temu pytanie: czy, gdyby rzeźba ta znalazła się na cmentarzu – miałaby szansę przetrwania do dnia dzisiejszego? Trudno o udzielenie jednoznacznej odpowiedzi twierdzącej lub zaprzeczającej... W Strzegomiu istnieje doskonale zachowana kwatery poległych w I wojnie światowej i monumentalny pomnik leżącego żołnierza, z głową wspartą na plecaku i hełmem u stóp. Budujące jest to, że społeczność tego miasta zachowała ten fragment historii dawnych mieszkańców, którego nie sposób wymazać, bo takie fakty miały miejsce i jest to wyraz szacunku dla przeszłości.



W piątą niedzielę, przed Wielkanocą obchodzono w tradycji niemieckiej dzień zadumy nad bezsenssem i okrucieństwem wojny (Reminiscere). Jednak część narodu szybko zapomniała o doświadczeniach wynikających z tragicznych skutków ogólnoświatowego konfliktu i po upływie zaledwie dwóch dekad, doprowadziła do wybuchu II wojny... Zapewne była to okazja do oficjalnych i kameralnych spotkań przed monumentem w parku...

Danuta Berlińska tak ujęła sens stawiania pomników: „Dzięki tym pomnikom zmarli byli wśród żywych, ponieważ wyrażały one wspólnotę tych, którzy odeszli, z tymi, co przeżyli”.

Na zakończenie warto przytoczyć fragment konkluzji, którą możemy przeczytać na stronie internetowej, poświęconej upamiętnieniu niemieckich poległych w latach 1914 – 1918:

„Teoretycznie wszystkie przedwojenne pomniki są obiektami zabytkowymi i jako takie powinny być objęte ochroną (konserwatorską).”

Kolejna refleksja to stwierdzenie, że „nasz” pomnik wyróżniał się na tle innych wysokimi walorami artystycznymi i w zasadzie był pozbawiony znamion militarystyki (żelazny krzyż mógł zostać zasłonięty), a postać młodej kobiety, pogrążonej w rozpacz miała głęboką wymowę humanistyczną, pacyfistyczną w wymiarze uniwersalnym.

Konstatacja doktora Gerarda Kosmala i doktor Dagny Chylińskiej doskonale wpisuje się w kontekst przedstawionych tu rozważań: „*Pomniki, poświęcone poległym w I wojnie światowej stanowiły ważny element krajobrazu wielu miejscowości*”. A my, na własne życzenie pozbawiliśmy się pięknego elementu krajobrazu; nastąpiło to w dwóch etapach - w latach 40 – i w drugiej dekadzie nowego tysiąclecia!

Opracowanie na podstawie:

APWr, Oddział Kamieniec Zabkowicki, AMŚ, Bauliche Unterhaltung Denkmäler, sygn.68

Świebodzice Dzieje Miasta 2017/ 2, Pomniki dawnego Freiburga, cz.I, s. 3 – 8

Danuta Berlińska, Symbole trudnej historii Śląska Opolskiego [w:] Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych, Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań 2015, s. 346, 347

<http://www.zgrit.uni.wroc.pl> > strona internetowa pomnik ... upamiętnienia niemieckich poległych w latach 1914 - 1918

Trudne dziedzictwo. Upamiętnienia poległych podczas I wojny światowej żołnierzy niemieckich na Śląsku, dr Gerard Kosmala, dr Dagny Chylińska, <http://rcin.org.pl> >Content, Kwartalnik Historii Kultury Materialnej, 2018/66 (3)

Schlesische Arbeiter Zeitung 1924/ 159/ 3.X./ s.3

APWr, Oddział Kamieniec Zabkowicki, AMŚ, Friedhofs Register, sygn.1/4, 1/5

Ekscytujemy się wspomnieniami Pionierów, dociekamy, jak to było zaraz po wojnie, ale zazwyczaj niewiele wiemy, jak wyglądało i co się działo w naszym mieście przed półwieczem i w latach późniejszych. Ci, którzy są świadkami tego czasu, pomalutku, tak jak i Pionierzy, odchodzą, a wraz z nimi bezpowrotnie zatracają się zdarzenia z tamtego okresu.

W bieżącym numerze, wzorem wspomnień Pionierów, chcemy zapoczątkować cykl publikacji „Kronikarskie wspomnienia”. Rozpoczynamy wspomnieniami Tadeusza Rubnikowicza i zachęcamy do przysyłania (drogą mailową) swoich, któ-

re poszerzą kronikarskie zapiski „Dziejów Miasta” i posłużą kolejnym pokoleniom. Młodych czytelników zachęcamy do spisywania i przysyłania nam wspomnień dziadków, rodziców, a także swoich, które w szczególny sposób utkwily w Waszej pamięci, a które przeszły niezauważone przez innych. Opublikujemy wspomnienia opatrzone nazwiskiem lub anonimowo, jeśli ktoś je zastrzeże. Każdy może być „KRONIKARZEM”.

Tadeusz Rubnikowicz

Kiedy śpiewały słowiki... cz.1

Wspomnienia to jedyny wehikuł czasu, jakim dysponujemy.

Lukasz Świdorski

Po podróży pociągiem z Wierzchowa Pomorskiego i nieprzespanej nocy - bo każda stacja za oknami, to był wielki i tajemniczy świat z masą czerwonych i niebieskich świateł kolejowych - wysiedliśmy na „krzywym peronie” w Świebodzicach. Był wczesny ranek 15 maja 1959 roku. Miasto przywitało szarością wczesnomajowego świtu i delikatną mżawką. Po wyjściu z budynku dworca i po minięciu szerokiego placu, zobaczyłem ulicę Kolejową. Po lewej stronie szerokiej jezdni, biegnący w dal szpaler lip podkreślał jej piękno, ale dopiero po prawej stronie chodnik, nad którym podwójny rząd tych drzew tworzył bajkowy tunel, zachęcał do ruszenia w tamtym kierunku! Ojciec jednak poprowadził mnie w ulicę Towarową. Wyszpana szlaką, także zrobiła na mnie wrażenie – wychowany na głuchej białoruskiej wsi, nigdy czegoś podobnego w swoim jedenastoletnim życiu nie widziałem i wszystko mnie zaskakiwało. Miało to swoje dobre strony, bo dla dorosłych, „znających świat”, te szczegóły były niezauważalne, a w mojej pamięci zapisywały się na długie lata. Przez stację towarową wyszliśmy na ulicę Strzegomską i zmierzaliśmy do celu – mieszkanie na parterze budynku nr 6 w Cierniach miało być naszym nowym domem. Było... ale tylko przez dwa miesiące, dopóki jeden z radnych gminy nie dopiął swego (upatrzył je dla kogoś swojego) i ojciec musiał szukać pomocy w mieście, by uzyskać jakikolwiek kątek.

Ten krótki czas zdążyłem przechorować aż do utraty przytomności, ale także poznać najbliższą okolicę. Budynek, jako jedyny, miał ślady seryjnych strzałów z automatu na północnowschodniej ścianie – może to były pozostałości po starciu sowieckich i niemieckich żołnierzy na przedpolach Cierni?

W cierniowskiej szkole kończyłem piątą klasę. Wówczas jeszcze odbywały się lekcje religii, na które przychodził organista z miasta (spordycznie – może raz w tygodniu). Do tej pory nie

miałem lekcji religii, więc organista rozwiązał problem oceny przepytując mnie... z pacierza.

Miłym wspomnieniem pozostała wycieczka do Strzegomia na piknik lotniczy. Gospodarze podstawili kilka wozów drabiniastych, zaprzężonych w parę koni, z ułożonymi w poprzek deskami zamiast ławek, ustrojonymi gałązkami brzozywami i wstążkami. Cóż..., jakie czasy, taki środek lokomocji. Ale wycieczka była znakomita, chociaż zajęła cały dzień.

Boisko szkolne przylegało do dawnej kaplicy cementarnej, która nie miała dachu i jeden z gospodarzy urządził w niej stajnię. Po latach zaniechano profanacji, ale na odbudowę i powrót do funkcji świątyni, przyszło jeszcze długo czekać.

Zainteresowanie dzieci budziła fabryka walek pod numerem 11, w której pracowały ich matki. Można było tam wejść bez problemu... i chodziliśmy. Przynosiliśmy barwne, mozaikowe kawałki preszpanu, z którego robiono typowe „czemodany”.

„Nowe mieszkanie” otrzymaliśmy w nieistniejącym już budynku przy ulicy Hanki Sawickiej 12 (obecnie Piaskowa). Nora, składająca się z kuchni, za oknem której poziom uliczki biegnącej wzdłuż „Refy” znajdował się na wysokości parapetu i pokoiku przylegającego do stajni, w której Cygan trzymał konia - z grzybem na ścianie do wysokości sufitu - była jednak naszym prawdziwym domem.

A ulica? Barwny świat tamtego okresu! Kolorytu dodawało kilka rodzin cygańskich, w tym dwie w „naszym” budynku. W sąsiednim – wójt cygański, Mikołaj, człowiek o pokaźnych zasobach finansowych, żyjący z handlu końmi, często, nie wiedząc czemu, spacerując po naszym podwórku, przeliczał gruby plik pieniędzy. Trzeba przyznać, że miał niesamowity autorytet i posłuch u Cyganów – co postanowił, było święte. Miał kilkoro dzieci, w tym kaleką córkę, która często, bez specjalnego powodu, zaczynała bardzo głośno się zachowywać i sąsiedzi mówili: - Będzie zmiana pogody, bo ... (nie pamiętam imienia), „kręci w garbie” i ta szaleje.

Cyganie (choć dzisiaj młodzi wolą określenie „Rom”, ja jednak we wspomnieniach pozostanę przy starej nazwie) niedawno zakończyli wędrówki w taborach, więc z pietyzmem przechowywali swoje wozy, którymi nieraz wyruszali na przejażdżkę. Na naszym podwórku stała bryczka w stylu „kibitki”, a na sąsiednim - wędrowny wóz jak się patrzy i z nim związane jest moje szczególne wspomnienie. Bardzo lubiłem wycinać papierowe szablony, przy pomocy których mogłem robić

odbitki na otynkowanych ścianach. W długim, ciemnym korytarzu wiodącym do naszego mieszkania, było ich sporo, a jedna przedstawiała stojącego dęba rumaka. Cyganka poprosiła mnie, abym wyciął kilka szablonów z motywem konia, bo chciała ozdobić wóz. Wyszło bardzo ładnie, a po latach, wspomnienie tego zdarzenia ożyło we mnie i zaowocowało wierszem, oddającym nostalgiczny romantyzm cygańskiego życia.

Ale cygańskie życie, to nie tylko romantyka. Widziałem ich radości i smutki, bójki i wesela, biegające po śniegu bose dzieci, które niby zdrowe - bo zahartowane - nie osiągały często „sędziwego wieku”. Bójki wybuchały często w najmniej spodziewanym momencie – mogła to być głucha noc albo bardzo wczesny ranek. Sen trwa w najlepsze, a tu nagle do korytarza lecą cegłówki, na przemian z wiadrami. I wszechobecny krzyk dzieci i Cyganek, pomieszany z przekleństwami. W naszym domu, najczęstszym powodem burd były pijackie porachunki między ojcem a synami. Myślę, że w innych, powód był podobny, bo młodzi Cyganie „hartowali swoje charaktery” na przyszłość. Awantura, która wybuchła pewnego niedzielnego ranka, trwała kilka godzin i zakończyła się przebięciem widłami syna przez ojca. Nasz mały komisarjat nie radził sobie i dopiero gazik z milicjantami, który przyjechał na interwencję ze Świdnicy, po wielkich trudach położył kres jatce. Cyganie mogli się bić między sobą, ale jeśli wmieszał się ktoś spoza ich środowiska (np. milicjanci) solidarność brała górę i wszyscy zwracali się przeciwko nowemu wrogowi. Nasi funkcjonariusze nie mieli łatwego życia. Nieraz widziałem, jak role się odwracały i to Cygan, z przysłowiową kłonicą, gonił milicjanta, który uciekał ile sił w nogach, przytrzymując czapkę.

Cyganie na swoim terenie nie kradli. Można było zostawić otwarte mieszkanie i było ono bezpieczne, ale jakimś dziwnym trafem wiedzieli, gdzie i co znajduje się w mieszkaniu. Matka wzdrygała się przed pożyczaniem czegokolwiek z osobistych przedmiotów gospodarskich, o co nieraz prosiła Cyganka. Zazwyczaj udawała, że tego nie ma, ale tu następowała niemiła sytuacja, bo słyszała np.: - Kochanieńka, to leży z tyłu, na dolnej półce w kredensie.

Ta zasada nie obowiązywała Cyganów wobec siebie – kradli na potęgę. Któregoś wieczoru bawimy się w chowanego i chcemy skorzystać z kryjówki w przyziemnej części głównego komina. Było to dziwne, dość duże pomieszczenie z metalowymi drzwiami (niektórzy twierdzili, że to wędzarnia, bo klitka miała znaczną wysokość). Po otwarciu drzwi okazuje się, że w środku, na sadzach, leży poduszka i kołdra. Awantura wybu-

chła, gdy Cyganka z mieszkania obok poznała swoją pościel i domyśliła, że jest to sprawka będącej w tym momencie u niej w odwiedzinach drugiej Cyganki.

Do ciekawostek tego budynku można zaliczyć, oprócz dziwnego komina, niezwykle głębokie i przestronne pomieszczenia piwniczne. W ścianach znajdowały się nieregularnie rozmieszczone niewielkie wnęki, wielkości dwóch pustaków, otwarte i puste. Jak były zamaskowane – nie wiem, ale wówczas już były otwarte i opróżnione.

Wesela były urządzone z fantazją. Solidna brama, przed wejściem na podwórko, stała już od poprzedniego popołudnia. Niedzielny ranek. Młoda Para (Pan, w białej koszuli, pod muszką, Pani w sukni z welonem) wyrusza piechotą do USC, a może do kościoła – nikt im nie towarzyszył (bardzo dziwne, że nie pojechali powozem). Po pewnym czasie (wyglądało to na pozorowane odwiedziny w Urzędzie lub kościele) wracają. Ojciec Pani Młodej, który już „ćwiczył” na skrzypkach przy weselnej bramie, teraz zaczyna grać „od ucha”. Powitanie, ogólna radość, całowanie, życzenia i zaproszenie gości do domu weselnego. My, dzieci, oczywiście chcemy widzieć wszystko i gromadzimy się pod otwartymi na oścież oknami. W pokoju rozstawione stoły, przy których, po obu stronach, siadają goście, a na stołach rozstawione wiadra z alkoholem, na przemian z popitką (prawdopodobnie kompotem) Na wiadrach chochle do nalewania płynów do kubków. Oczywiście, nie staliśmy pod oknami w nieskończoność i jakie były później dania treściwe, trudno powiedzieć. Wesele odbywało się do późnej nocy i obeszło się bez awantur.

Ale ulica Hanki Sawickiej, to nie tylko folklor cygański. Jej stara, ponemiecka zabudowa na tyłach dwóch potężnych fabryk – „Ziemowitu” i „Refy”, łączy ulicę Henryka Rutkowskiego (obecnie Młynarską) z ulicą Świebodzicką, należącą wówczas do Pełcznicy. Równolegle, pod murami fabryk, biegnie droga gruntowa i łączy ulicę H. Rutkowskiego z Krótką, która w czasach przedwojennych nazywała się Zaułkiem Beckera. Na tej krzyżówce znajdował się znany niegdyś gasthof „Pod Białym Rumakiem” – teraz, jako budynek mieszkalny. Na drugim końcu, na krzyżówce Krótkiej ze Strzegomską, funkcjonował bardzo wzięty sklep spożywczy, tzw. „Pionierek” (wówczas sklepów było bardzo mało). Niestety, ta część miasta, poczynając od ulicy Fabrycznej, w tym także ulica Krótka (wąziutka, niczym uliczka wychodząca z ul. Sienkiewicza w stronę kościoła św. Piotra i Pawła), znikły z powierzchni ziemi w czasie rozbudowy „Refy”. Nieistniejąca część ulicy Hanki

Sawickiej miała ciekawszą zabudowę niż pozostała – w końcowej jej części był jakby miniaturowy rynek. W połowie ulicy, (mógł to być nr 16), na parterze budynku znajdował się nieczynny po wojnie sklep mięsny lub piekarnia. Podobny, znajdował się tuż przy obecnej kładce, łączącej ul. H. Sawickiej z ul. Łączną, ale już w budynku narożnym ulicy H. Rutkowskiego. Wiele lat był nieczynny i dopiero w latach 60., na krótki czas, przerobiony został na sklep warzywny. Sama kładka, odbudowana na miejscu dawnego mostu, powstała dopiero w latach 60-. Do tego czasu, komunikacja piesza z ulicą Łączną odbywała się tylko przez kładkę obok „Śnieżki” lub przez most Strzegomski.

Pod numerem 19 prowadziła swoją produkcję Fabryka Pędzli, która w późniejszym okresie przeniosła do budynków byłej Fabryki Walizek w Cierniach.

Jeszcze w latach 60. był ciekawy zwyczaj w mieście – zarówno „Ziemowit” jak i „Refa” budziły swoich pracowników do pracy, a także oznajmiały przerwę śniadaniową i przełom zmian, „wyciem” syren („Ziemowit” – parową, „Refa” – elektryczną).

Wieczorami, większość ulic w mieście była oświetlana „światłem z okien”, bo latarni w całym mieście jak na lekarstwo. Obsługą zajmował się „latarnik”. Szedł wyznaczoną trasą i wyłącznikami na murach budynków zapalał lampy, najczęściej wiszące na drucie rozciągniętym w poprzek ulicy. Jedna z latarni w „naszej dzielnicy” wisiała na styku ulicy H. Rutkowskiego i H. Sawickiej, a druga na skrzyżowaniu H. Sawickiej i Fabrycznej – i to było całe oświetlenie tej okolicy. Jako dzieci, wyręczyliśmy latarnika i o zmierzchu zapalaliśmy, a rano gasiliśmy te dwa świece.

Trudno uwierzyć, ale przez pewien czas takie ulice, jak Świdnicka czy Kolejowa, nie miały ani jednej latarni, a co dopiero podrzędne ulice.

Miasto przemierzało się na własnych nogach lub rowerach, niewielu mieszkańców mogło to robić na motocyklach (samochodów było jak na lekarstwo). Komunikację miejską z Pełcznicą wprowadzono pod koniec 1960 roku, a z Cierniami dopiero w grudniu 1963 i można sobie wyobrazić, jakim problemem było stawienie się do pracy w odległych zakładach Pełcznicy (WSK czy Klimat), szczególnie zimą, ciemnymi ulicami, a do tego podczas śnieżnej zimy.

Wielkim wsparciem w tych czasach były konie, np. ekspedycja przesyłek z poczty na dworzec kolejowy odbywała się zaprzęgiem konnym (wóz obudowany, niczym mały baraczek na kołach, woźnica na koźle i wyjazd do każdego pociągu,

który tuż za lokomotywą prowadził wagon pocztowy). Końmi wysługiwały się fabryki – Zakłady Lniarskie „Ziemowit” przewoziły bele lnu ze stacji towarowej do swego magazynu przy ul. Strzegomskiej. Bezsprzecznie, bez koni nie mogły funkcjonować gospodarstwa rolne (bo prywatne ciągniki pojawić się miały w dalekiej przyszłości), szczególnie widoczne to było jesienią, w czasie kampanii buraczanej, kiedy zwożono buraki cukrowe do punktu skupu, urządzonego przez cukrownię na placu stacji towarowej przy ulicy Strzegomskiej. Niekończący się sznur furmanek urywał się gdzieś za mostem w okolicy kościoła św. Franciszka. Do połowy zimy, stacja towarowa była wielkim składowiskiem buraków, póki wagonami nie wywieziono ich do cukrowni.

Dziś już stacji towarowej nie ma, ale był czas, gdy ruch na niej był ogromny. Wszystkie produkty z zakładów jechały w świat pociągami, a surowce do produkcji też napływały tym samym szlakiem. Będąc dziećmi, często zbieraliśmy na placu różne, z naszego punktu widzenia, „wartościowe rzeczy”, które rozsypywały się podczas załadunku lub wyładunku towarów. Najciekawsze były ziarna kakawowca, które w workach trafiały do Fabryki Czekolady „Śnieżka”. Zbieraliśmy je w opróżnionych wagonach, bo niektórzy twierdzili, że po zmieleniu w młynku będziemy mieć kakao. Nie pamiętam, by kiedykolwiek tak się stało, a jeść, tego też się nie dało.

Wracając do koni, które były szczególnym elementem ruchu w mieście, trzeba powiedzieć, że tak jak teraz są warsztaty samochodowe, tak kiedyś, do zapewnienia „serwisu dla koni” były kuźnie. Jedna z nich znajdowała się w budynku obecnej plebanii parafii św. Franciszka (wejście od strony ul. Wodnej), a dwie na ulicy Jeleniogórskiej: pod nr 3 i obok dawnej „Krakowianki” pod nr 9.

Jak mało było samochodów, niewielkie pojęcie może dać peregrynacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Po kilkudniowym pobycie w naszym mieście (w obu kościołach: św. Mikołaja i św. Piotra i Pawła), obraz powędrował do kościoła w Szczawienku. Był odprowadzany przez delegację naszego miasta, która miała tam, w kościele, złożyć kwiaty. Nas, dzieci, „poupychano” do kilku jadących w kolumnie samochodów, ale powrót, po godzinie lub dwóch, musieliśmy zorganizować sami. Szliśmy drogą, z nadzieją, że może ktoś będzie wracać z uroczystości lub jechać z Wałbrzycha do Świebodzic i zabierze nas na „łebka”, ale na drodze nie pojawił się ani jeden samochód, motocykl, czy nawet furmanka!

Miasto, w pewnym okresie, pretendowało do miana „dzikiego zachodu”. Po jednym z krwawych zdarzeń, gazeta „Sztandar Młodych” zamie-

ściła artykuł „świebodzicki western”, ilustrując go postacią kowboja uzbrojonego w nóż. A nóż często był narzędziem porachunków. Finka zakończyła życie szesnastolatka, którego oprawcą w 1962 roku stał się serdeczny kolega, starszy od niego o trzy lata. W 1966 roku, 19-letni młodzieniec zaczął pastwić się pod kinem „Wolność” nad piętnastolatkiem. Ostateczny wynik zdarzenia okazał się tragiczny – zginęła matka chłopca, poraniony został mężczyzna śpieszący na ratunek. Sprawcę, na pokazowej sesji wyjazdowej w Świebodzicach, sąd skazał na karę śmierci, a noże wyrabiane przez młodzież, na wzór noża mordercy, przez wiele lat były określane mianem „kułyszówek”. Były też inne narzędzia zbrodni, jak siekiery, młotki, a nawet kanister z benzyną. Z niezwykle okrutnych zdarzeń warto przypomnieć dramat w jednym z domów przy ulicy Krasickiego, gdzie w styczniu 1971 roku młody mężczyzna zaatakował dziewczynę siekierą, zadając jej cios w głowę. W listopadzie 1980 roku pięcioosobowa rodzina przy ul. Towarowej spłonęła w wyniku podpalenia mieszkania. Wiosną 1994 roku zdarzyła się jedna z najokrutniejszych zbrodni przy ul. Łącznej, bo zostało zamordowane 6-letnie dziecko, które po śmierci zostało przez psychopatę pozbawione głowy i wrzucone do śmietnika.

Co prawda, w ostatnim czasie fala okrutnych zbrodni znowu powróciła, ale kiedyś ich przebieg szokował mieszkańców znacznie bardziej i na długo pozostawał w pamięci.

Ale też i umieli się ludzie bawić. Może dlatego, że telewizja dopiero wkraczała „pod strzechy”. Jeśli ktoś miał telewizor, najczęściej produkcji rosyjskiej, z małym, a do tego dalekim od kwadratu ekranem, był już kimś, kogo chętnie odwiedzali sąsiedzi, przychodząc na wieczorny program (bo i trwał on przykładowo od godziny 16-17 do godziny 22, a częste awarie na łączach przedłużały się niekiedy do kilku dni). Dlatego było wiele sobotnio-niedzielnych potańcówek, czy też festynów z różnego rodzaju atrakcjami, najczęściej loterią fantową. Najodpowiedniejszym miejscem był teren Warszawianki – podłoga z desek, orkiestra i zabawa do późnego wieczoru (po ciemku już nie było widać partnera) Drugim, takim miejscem był stadion.

Zabawa zabawą, ale i do pracy też trzeba było iść. To, że Świebodzice były „naszpikowane” zakładami i zajmowały w Polsce bardzo wysoką pozycję pod względem uprzemysłowienia, wiedzą nawet najmłodszy mieszkańcy. Dziś już tych zakładów nie ma. Gdybym chciał opisać historię poszczególnych fabryk, zajęłoby to zbyt wiele miejsca, ale warto wspomnieć o czymś, o czym już nawet starsi mieszkańcy nie pamiętają – o Gazowni

Miejskiej. Mieściła się przy ulicy Strzegomskiej, ale faktycznie, bardziej należała do Siennej. Dwa zbiorniki, które gromadziły wytworzony w destylarni gaz, wyglądały jak miniaturki zbiorników rafineryjnych, ale były ruchome. Szczyt stanowiły ogromne, jak na warunki tego typu urządzeń kołpaki, które wytwarzały ciśnienie w sieci i obniżały się wraz z ubytkiem gazu. Aby zwiększyć ciśnienie w sieci, były one dociążane balastem z betonowych płyt. Gazownia była mała, ale i sieć gazownicza, też była niewielka.

Drugim, dość ciekawym zakładem była Cegielnia przy ulicy Wałbrzyskiej. W pamięci starszych mieszkańców nadal funkcjonują miniaturowe wagoniki do przewozu gliny z wyrobiska na którym stoi dziś „Tesco”. Pchane po torach przechodzących pod mostem na drugą stronę ulicy, docierały do wytwórni cegieł. Dziś już tego miejsca nie ma, ale małe obelisk przy głównej alejce cmentarza, od strony Wałbrzyskiej, przypomina o tragedii, która tam się rozegrała. Pewnego letniego dnia, kąpiący się w gliniance chłopiec zaczął tonąć. Na ratunek rzucił się kierownik Cegielni, który niestety, sam utonął. Chłopca uratował ktoś inny.

Ludzie pracowali, bawili się i chorowali. Dziś jest wiele aptek w mieście. Jak mawiają starsi, gdzie rzucisz kamieniem, tam wybijesz szybę w

aptece. A były czasy, kiedy czynna była tylko jedna i to przez siedem godzin dziennie, w tym dwugodzinna przerwa śniadaniowa. Mieściła się przy ulicy Żeromskiego, gdzie zresztą funkcjonuje do dziś. Był ośrodek zdrowia, była porodówka i było pogotowie, ale nie było takich możliwości telefonicznych jak dziś – aby „ściągnąć” pogotowie do chorego, trzeba było się pofatygować osobiście (*często biegiem*) na dyżurkę. Jak wyglądało to przy wypadkach na drogach, nie umiem powiedzieć, ale chyba ktoś musiał najpierw dotrzeć do pogotowia albo zadzwonić z telefonu stacjonarnego w pobliżu, jeśli takowy się znajdował.

Czas zacierza ślady minionego i giną one bezpowrotnie wraz z odejściem tych, którzy pamiętają. Niektóre rzeczy są ważne i one utrzymują się w świadomości mieszkańców dłużej, a inne, mniej ważne, a więc ulotne. Do takich należy z pewnością obecność Greków na naszym terenie. Stoki wzgórz po lewej, a także zagajniki po prawej stronie drogi do Dobromierza, były miejscem wypasu owiec przez rodzinę grecką. Swego czasu, były to tereny obfitujące w grzyby i nie trzeba było jeździć np. w lasy bolesławieckie, ale po „wymłóceniu” terenu przez stada owiec, nie wiem, czy dziś można udać się tam na grzybobranie.



„Świebodzie pod Książem”

Zdj. Adrian Sitko

Świebodzice - Dzieje Miasta”

http://sdmrf.asuscomm.com/dzieje_miasta/ <http://jbc.jelenia-gora.pl> <http://dzieje-miasta.pl>

Wydawca - Adam Rubnikowicz

Korekta - Maria Palichleb

Winieta - Jan Palichleb

Współpracownicy: Jerzy Gibek, Edward Hałdaś, Bolesław Kwiatkowski, Krzysztof Jędrzejczyk, Waldemar Krynicki, Katarzyna Matuła, Marek Mikołajczak, Adam Mroziuk, Mateusz Myktytyszyn, Maria Palichleb, Jan Palichleb, Tadeusz Rubnikowicz, Adrian Sitko, Magda Woch, dr Daniel Wojtucki, Maciej Zaboronek, Jacek Ziaja.

Podziękowania dla wszystkich, którzy udostępnili swoje zbiory.

Kontakt e-mail: adamr@pnet.pl **Przedruk możliwy po podaniu źródła.**